

MACIEJ PAPROCKI

ur. 1931; Lublin



Miejsce i czas wydarzeń	Siedlce, dwudziestolecie międzywojenne
Słowa kluczowe	Siedlce, dwudziestolecie międzywojenne, rodzina, matka, Alfreda Paprocka, ojciec, Witold Paprocki, praca ojca, przedszkole, komunikacja kolejowa, stacje, Żydzi

Przedwojenne Siedlce

Ojciec [miał na imię] Witold, a matka [była] Alfreda. Zajmowała się domem, bo w okresie kiedy ja miałem tam tych lat dwa, trzy, cztery, to nie sposób chyba było wtedy jeszcze pracować gdzieś. Przedszkole było w Siedlcach nawet i nawet jeden dzień w przedszkolu byłem. Ponieważ mama moja uznała mnie za wybitnie samodzielną jednostkę, wobec tego następnego dnia, bo pierwszego dnia mnie zaprowadziła do przedszkola, powiedziała: „Idź do przedszkola, tam się pobawisz trochę”. Poszedłem, nie wiem, czy daleko poszedłem, w każdym razie zniknąłem z oczu mamie, przez pół godziny gdzieś się wałęsałem, wróciłem i powiedziałem: „Przedszkole zamknięte”. Nie odpowiadało mi zupełnie.

Miasto było dość ciekawe i sympatyczne w sumie. Dość duże, wielkości obecnych Puław powiedzmy, o dużym węzle kolejowym [na trasie] Warszawa – Brześć i dalej. Jeśli chodzi o czystość, to obawiam się, że Siedlce były na wyższym poziomie niż Lublin w owym czasie. Lepiej chyba wybrukowane i z chodnikami lepszymi niż w Lublinie to wyglądało. Oczywiście, komunikacji żadnej miejskiej nie było, to było jednak zwarte miasto i nie takie olbrzymie, z rozległą dość komunikacją międzymiastową. Połączenie do Lublina [było] na tyle wadliwe, że potrzeba było z Siedlec korzystać z komunikacji autobusowej, autobusy zabierały prawie dwadzieścia osób na swój pokład, trzeba było do Łukowa dojechać i w Łukowie dopiero się przesiąść do pociągu. Tak się zastanawiam, w jaki sposób meble tam ojciec sprowadził, nie mam pojęcia. Może wtedy można było zapakować do jakiegoś wagonu towarowego i gdzieś tam w jakiś sposób, przez Warszawę na przykład, się dało dojechać do Siedlec. Ale bezpośrednio Siedlce z Lublinem nie miały połączenia kolejowego. To było miasto, w którym samochodów chyba było dwa, reszta jeździła rowerami, było dość dużo rowerów tam.

Mieszkaliśmy w trzech różnych miejscach. Najmniej pamiętam mieszkanie przy ulicy Pięknej. No, było blisko ratusza, w którym ojciec pracował. Mieszkaliśmy na

poddaszu budynku, takiego czynszowo-handlowego, gdzie właścicielem był Żyd, który handlował butami i różnego rodzaju futrami. Wymyślił sobie, że rodzina raczej nie przynosi mu chwały, bo jest marnie ubrana. Kto przyjdzie do niego kupować futro albo buty, jak widzi, że u niego lokator jest oberwańcem. Wobec tego wymyślił sobie najpierw, że matce mojej buty kupi u siebie. Jak będzie miała dziesięć groszy, to da dziesięć groszy, jak będzie miała złotówkę, to złotówkę, kiedyś tam spłaci na pewno. No, buty dość dużo kosztowały, gdzieś w granicach pięciu-sześciu złotych chyba takie damskie buty, no więc pierwsza awantura była w domu – jak ona mogła sobie pozwolić na taki zakup, kiedy są różne inne potrzeby. No, ale już jak matka sobie kupiła – właściwie matce kupił ten Żyd u siebie – futro ze żrebaków, to już ojciec nie wytrzymał nerwowo i przeprowadziliśmy się na ulicę Piłsudskiego, tuż obok kościoła garnizonowego Siedlec. On nie próbował dominować nad nami jako obcą nacją, on próbował tylko sobie wytworzyć wizję człowieka, który potrafi siebie w jakiś sposób wyeksponować w tym społeczeństwie, żeby do niego przychodzili, nie do jakiegoś innego człowieka, który handluje podobnymi butami i futrami. To była reklama, rodzaj reklamy, chęć zareklamowania się. To jest marketing. On tyle męczył, tyle mendził, przynosił: „No, niech pani przymierzy. No, co to znaczy, nie można przymierzyć? No, niech pani przymierzy to”. No, jak przymierzyła, no to trudno było zdjąć. Tym bardziej, że on nie życzył sobie od razu pieniędzy. No, nie wiem, ile to futro miało kosztować, ale, powiedzmy, niech ono kosztowało trzydzieści złotych, a matka moja mogła sobie miesięcznie odłożyć na przykład złotówkę. No i dawała mu tę złotówkę i on nic nie marudził. Tylko on widział, że, proszę bardzo, w moim futrze chodzi ta osoba, która tutaj wchodzi do domu. Reklama. I nigdy nie mówił, że on sankcjonuje tego typu spłatę.

Mieszkaliśmy znowu na poddaszu, z wglądem na plac przed kościołem garnizonowym, gdzie co tydzień pułk kawalerii przychodził na mszę polową, oczywiście uzbrojony w pełni. Widziałem, jak wojsko się rozbraja i w charakterystyczne takie trójnogi ustawiano karabiny. Jakiś żołnierz zostawał, pilnował, żeby ktoś tego nie ukradł świństwa. A z drugiej strony okno wychodziło na dworzec autobusowy komunikacji międzymiastowej. Największa frajda była wtedy, kiedy był pobór koni remontowych, tak się nazywały, do wojska – kupno koni od okolicznych chłopów. No, konie wspaniałe tam były hodowane. [Były nabywane] po to, żeby służyć w wojsku i na defiladzie nawet występować jakiejś. Musiały być przygotowywane do tego, ażeby się mogły spotkać na drodze z autobusem, trąbiącym czasami, błyskającym. Wobec tego były piękne takie boksy zrobione z drewna, z okrągłaków, do których wiązano konie, a z przodu podjeżdżał autobus, błyskał, trąbił, no i te konie spienione, była próba ucieczki każdego z nich. Widok wspaniały.

Ojciec już był coraz to ważniejszym kierownikiem referatu w Starostwie Powiatowym, jeszcze od czasu do czasu wynajmował się jako tester radioodbiorników, które już wówczas zaczęły być sprzedawane na takie miejscowości jak Siedlce. Z tym że nie

było kontroli technicznej tego producenta, tylko mógł być sprzedawany taki odbiornik radiowy, jeśli miał przez takiego testera złożone oświadczenie, że był wypróbowany ileś tam godzin i nadaje się do użytku. Naprzeciw [naszego mieszkania] był sklep, w którym sprzedawano radioodbiorniki, sprzedawano akumulatory, sprzedawano baterie, bo przeważnie były to odbiorniki na baterie i akumulatory, nie na prąd taki bezpośrednio ze ściany. Wobec tego ojciec za to dostawał jakieś pieniądze, za testowanie tych odbiorników. To pierwsza sprawa. A druga sprawa – ojciec, nie wiem skąd, nauczył się geodezyjnych robót i w jego referacie w Starostwie Powiatowym były melioracje pod jego kierownictwem, wobec tego wykonywał projekty melioracji łąk. Tamtych łąk, których było mnóstwo, takich o bardzo wysokiej wodzie gruntowej. I on robił projekty tego, jeździł z niwelatorem, teodolitem, wytyczał te rowy, wytyczał, gdzie drenaż trzeba robić, i za to dostawał ekstra zupełnie pieniądze.

Ponieważ ojciec już wtedy zaczął zarabiać jako ten kierownik referatu dość sporo pieniędzy jak na owe czasy i jeszcze miał jakieś dodatkowe zajęcia, które lubił robić, to zrezygnował z mieszkania na Piłsudskiego i przeprowadziliśmy się do dzielnicy, nazwijmy to, domków jednorodzinnych, na obrzeże Siedlec, na Aleksandrowską, gdzie były trzy mieszkania czynszowe. Właściciel nie mieszkał tam, tylko trzem lokatorom [wynajmował]. To było już mieszkanie o dość wysokim standardzie, bo całkowicie skanalizowane, z wodą własną, w piwnicy była pompa specjalna, skrzydełkowa, którą trzeba było napompować [wodę] do pojemnika na strychu, no więc woda była bieżąca i ogrzewanie było piecowe. To już był wyższy standard, zupełnie nieporównywalny do poprzednich mieszkań, no, ale już wtedy wystarczyło pieniędzy na to wszystko.

To już był tylko epizod chyba półtoraroczny i zaczęła grozić wojna, więc trzeba było uciekać stamtąd. Tym bardziej, że w jakiś sposób ojciec przeczuwał, że miasto, które w ilości mieszkańców jest chyba w proporcjach żydowskiej do polskiej populacji sześćdziesiąt do czterdziestu, może mieć kłopoty w czasie wojny. Tym bardziej, że ludność żydowska nie była sympatycznie ustosunkowana do Polaków. Raczej spodziewano się, że Niemcy, jak przyjdą, to ludność polską szybko gdzieś w jakiś sposób wykończą stamtąd i oni zostaną już właścicielami tego całego miasta.

Data i miejsce nagrania	2012-08-10, Lublin
Rozmawiał/a	Tomasz Czajkowski
Redakcja	Justyna Molik
Prawa	Copyright © Ośrodek "Brama Grodzka - Teatr NN"